№ 24. Warszawa, dnia 29 Maja (10 Czerwca) 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Jałmużna.

Obrazek dramatyczny w jednym akcie

PRZEZ

S. z Ż. D. i J. K. G.

OSOBY.

Stanisław czeladnik rzemieślniczy,
Michał przyjaciel Stanisława,
Jadwiga żona Stanisława,
Zosia pięcioletnia córeczka.

Scena przedstawia po jednej stronie wystawę szynku, wychodzącą na ulicę. Nad drzwiami napis: „Dzień dobry kolego, kup mi co dobrego;" po drugiej ławeczka.

SCENA I.

Z podniesieniem zasłony słychać głosy hałaśliwe wychodzące z szynku. Po chwili wychodzą z niego Stanisław i Michał dobrze podochoceni. Ubranie na nich bardzo skromne, nawet biedne; czapki na głowach, cygara w ustach.

Stanisław (ku szynkowni grożąc pięścią).
Niech pioruny w was uderzą!

Michał.
Ha rabusie! ha bałwany!

Stanisław (oddychając swobodnie).
Jak tu wietrzyk dmucha świeżo!
Lepiej Stachu mój kochany,
Pod zdechłego pójść zająca *).
Cóż ty na to?

Stanisław.
Chodźmy! ale...
Wszak niedziela dziś Michale?

Michał.
Ba! niedziela... co on plecie!
Poniedziałek mamy przecie...

Stanisław.
Wódka rozum ci zamąca,
Tyś się bratku spił jak bela!

Michał.
Ja pijany?... Mocny Boże (zamyśla się)
Dobrze mówisz... Kto wie... może
To niedziela.

Stanisław.
Tak, niedziela!
Pomnę przecię za robotę,
Grosz mi w rękę wpadł w sobotę,
Byłobyż to wczora? Kto wie...
Ej ladaco ten Michałek,
On mi rozum zmącił w głowie...
Dziś dalibóg poniedziałek.

Michał.
Dziś niedziela

Stanisław.
Pleć pleciugo...

Michał.
Tak, niedziela, jakem żywy...

Stanisław.
Od soboty coś za długo...
Dyabla sprawa... istne dziwy!

*) Pod taką nazwą lat temu kilka, znajdował się w okolicy Starego-Miasta szynk, całą noc zwykle otwarty.

Michał.
Chodźmy Stachu!

Stanisław.
Ludzie plotą,
Nie pij, nie trwoń czasu marnie:
Bredzą głupcy, niechaj oto
Smutek myśli twe ogarnie,
Gdy się człek z kieliszkiem spotka,
Serce jakoś w człeku rośnie,
W duszę radość spływa słodka,
Tak wesoło, tak radośnie,
Za godziną mknie godzina,
Że dni nawet przepomina.

Michał.
Co to szkodzić może komu?

Stanisław.
Jak człek pije, to i żyje.

Michał.
Niech kobieta radzi w domu!

Stanisław.
Nasze ręce a nie czyje
Pracowały na grosz krwawo,
Więc pohulać mamy prawo.
Z wesołością zdrowie w parze,
Żyć i użyć rozum każe
Skoro nie brak nam ochoty.

Michał.
Żyć i użyć!

Stanisław.
Od soboty
Aż do końca poniedziałku!
Cha, cha, cha, cha!

(Bierze się za boki i śmieje się z coraz większem szyderstwem, nagle urywa i przelękniony spogląda w koło).

Co u czarta!
Tyś się rozśmiał, ty Michałku?
Albo szatan może w piekle?

Michał.

Co ty bajesz?

Stanisław.

Słuchaj tylko,
Śmiał się jakoś straszno, wściekle,
Ta wesołość dyabła warta...
Jeszcze cały mrę z przestrachu!

Michał.

Pluń na marę, ty przed chwilką
Sam się śmiałeś, ty mój Stachu!

Stanisław.

Ja? być może... moje ucho
Nie raz pierwszy śmiech ten trąca...
Tak on straszno brzmi, tak głucho...
Czasem oto pierś kipiąca,
Parsknie śmiechem takim we śnie,
I ból serce rwie na sztuki,
I mózg wierci tak boleśnie...

Michał.

Dałbyś pokój! banialuki!
W gorączkowym jesteś szale...

Stanisław.

Banialuki!... nie Michale! —
Po raz pierwszy, słucha oto,
Jam się zaśmiał dzieckiem jeszcze
Takim śmiechem... na myśl o tem
Brrru! Śmiertelne czuję dreszcze.
Wiesz od pieluch jam sierotą,
Rosłem starzan nędzy błotem,
Jak mularska ona cegła
Przerzucana z ręki w rękę;
Moja młodość w łzach ubiegła.
Zmrożon nieraz wskróś do kości,
Wczas poznałem straszną mękę,
Gdy głód szarpał mi wnętrzności.
Jak ów robak pełzający
Z pochyloną w ziemię głową,
Wciąż ponury i milczący...
Ja dławiłem skargi słowo.
Ale jadem pierś wzbierała
Kiedym patrzał jak do matek
W pląsach bieży dziatwa mała...
Och! jam uczuł naostatek
Szał zazdrości, piekło sromu!
Szczęścia, pieszczot pierś ich syta,
Jam sierota, sam, bez domu...
O mnie nawet nikt nie spyta,
Pies szczęśliwszy był ode mnie!
Ktoś po grzbiecie go pogłaszcze,
Kęs mu chleba rzuci w paszczę,
A ja łaknę i daremnie
Życzliwego czekam słowa,
I obelga co dnia nowa
Godzi w biedne moje serce.
Jam się zawziął na te dzieci...
Mnie żyć w takiej poniewierce?
Dla nich słońce jasno świeci,
A mnie pomrok osnuł blady,
Im spożywać ucztę całą
Mnież się tylko z tej biesiady
Ani kęska nie dostało?

Michał.

Porzuć bratku te androny,
Kogóż troska nie przygniotła?

Stanisław.

Pomnę majster był człek srogi,
Łeb u niego istna miotła,
Jak ogórek nos czerwony,
Dnia jednego w kuźni progi,
Wbiegło jego drobne chłopię,
Z włoskiem płowym jak konopie.
Twarz u malca zapłakana,
Radość błysła w ojca oku,
Porwie dziecko na kolana,
Huśta, lula, pieści, koi...
Jam kuł młotem coś na boku,
Wściekłość zbiera w piersi mojej,
Mały skacze w lewo w prawo,
Nóżętami gracko trzepie,
Rączynami macha żwawo...
Łzą mi zaszły oba ślepie...
Patrzę, istna to ptaszynka,
Co w gniazdeczku kwili wiosną,
Zaczem piórka jej odrosną.
Majster śmieje się do synka,
Aż się dziecko rozgrzechocze
Takie raźne i ochocze,
Coś gaworzy tak wesoło...

Michał.

Ot zwyczajnie dziecko głupie!

Stanisław.

Pot wystąpił mi na czoło,
Dech mi zamarł jakby w trupie;
Zergnę okiem nań z ukosa...
Drżę jak listek... w tem dziecina
Ojcowskiego sięgnie nosa,
Za kędziory drzeć poczyna,
Aż się zerwał majster gniewno,
Krzyczy gwałtu! Człek nie drewno —
Aż mu lica się zapocą...

Michał.

Dobrze mu tak, dobrze — po co
Czas mitrężyć na pieszczoty!

Stanisław.

A pacholę za łeb targa...
Jam poprzestał mej roboty,
Parskłem śmiechem głośno, wściekle...
Jak się czarty śmieją w piekle!
Zkąd śmiech taki? niech kto spyta...
Nie z igraszki to dziecięcej,
Zemsty moja pierś nie syta.
Szarp go, targaj! bardziej, więcej...
Garśćmi kudły rwij jak trawę,
Duś go, morduj, szamocz dziecię,
Odbij wszystkie cięgi krwawe,
Co sinieją mi na grzbiecie!
Jam się z jego śmiał męczarni,
Radość moja straszna... dzika...
Tak się dyabli cieszą czarni
Na przedpieklu z mąk grzesznika...
Ten śmiech wgryzł się w głąb mej duszy,
Jak się wgryza rdza w żelazo,
Żadna wrzawa go nie zgłuszy,
Wciąż odganiam go z odrazą,
Wciąż mi brzęczy, dławi, dusi,
I dziś oto dni rachunek
W biednej głowie mej rozstrzela!

Michał.

Dobry trunek na frasunek,
Ja ci ręczę, to niedziela!

Stanisław.

Tak niedziela dziś być musi...
No posłuchaj chwilkę jeszcze:
Majster zbił mnie...

Michał.

Zwierz nie człowiek!

Stanisław.

Gniew mi ścisnął pierś jak w kleszcze,
Sen mi nocą zegnał z powiek,
Gdy świt niebo zarumieni,
Nagle zerwę się z barłogu...
Jam dziesiątkę miał w kieszeni...
Co rozwodzić próżne żale?

Michał.

Pewnieś drapnął?...

Stanisław.

Nie Michale!
Wprost naszego był tam progu
Szynk... rozumiesz?

Michał.

Widzę jasno,
Więc palnąłeś czarkę wódki...

Stanisław.

Niech pioruny ją zatrzasną,
Ona dzielnie leczy smutki!
Łykam kielich, drugi, trzeci,
Myśl się z mętnych strząsa chmurek,
Jak na skrzydłach w górę leci,
Gdzieś w nieznane pędzi światy,
Tam nos widzę jak ogórek,
I nastroszon łeb kudłaty.
Patrzę w marę moją piękną,
I od śmiechu się zanoszę,
Ledwie boki mi nie pękną,
Aż runąłem istna kłoda...
Po raz pierwszy bracie wtedy,
Jam pijaństwa czuł rozkosze,
I przepomniał mojej biedy!

Michał.

Kiedyż — powiedz — to się stało?

Stanisław.

Już nie pomnę...

Michał.

Szkoda, szkoda...
Dzień ten czcić by należało!

Stanisław.

Ej Michałku, ja się trwożę,
Na myśl o tem drżę jak listek,
Mnie pijakiem nazwą może.

Michał.

Co się tobie Stachu dzieje!
Toć pijakiem jest świat wszystek,
Nikt za kołnierz nie wyleje,
A to ludzi tylko dzieli,
Że gdy jeden łeb podchmieli,
Drugim, trunek zmysły zmąca!
Wódka troskę zgania przecie,
A bez troski kto na świecie?

Stanisław.

Prawda!

Michał.

Idźmy pod zająca!

Stanisław.

Chwilkę jeszcze, niech wypowiem
Co mi cięży tu ołowiem,
Słowo ulży i pokrzepi...
Gdy pierś takim śmiechem wzbierze.
To piekielna bracie męka,
Na myśl samą serce pęka!

Michał.

Tak, wypowiedz troskę lepiej,
Wyznaj Stachu wszystko szczerze!

Stanisław.

Gdy już byłem czeladnikiem,
Okno w okno przez ulicę,
Zamieszkała matka z córką...

Michał.

Ładnaż była ta bestyjka?

Stanisław.

Nie porównać by jej z nikiem!
Taka wiotka, istne piórko,
Czarne oko, biała szyjka,
Hoża niby róży pączek,
Taka pilna, pracowita,
Nie wypuszcza igły z rączek,
I na książce chętnie czyta.
Co dnia dziewczę spotykałem...
Zrazu marło w ustach słowo,
W oczy spojrzeć jej nie śmiałem...
Potem ścicha skinę głową,
Potem rzeknę słówko do niej,
Ona lekko się zapłoni;
Potem gwarzę ze szczebiotką
I zapukam wreszcie w progi...
Ledwie szczęściu memu wierzę...
Pokoiczek ich ubogi,
Laki w oknach kwitną świeże.
Ona biedna, myślę w duszy,
Znać mi w niebie ją sądzono,
Prośba serce jej poruszy,
Ona moją będzie żoną.
W lot do pracy! walę młotem,
Pot kroplami z żył mi tryska...

Michał.

I nie piłeś?...

Stanisław.

Kto śni o tem,
Gdy mu szczęście słońcem błyska?
Dziewczę cuda ze mną czyni,
Mądre słówka z ust jej płyną,
Kiedy strojna z matką w parze,
Na ulicy się pokaże,
Biegną tłumy w ślad Maryni,
Każdy patrzy za dziewczyną,
Ten pochwali, ów zagadnie,
Ona rzuci wzrok na strony,
Weselutka, czasem pusta,
I ja pytam jak szalony
Co w jej sercu leży na dnie?
Pytam wzrokiem, milczą usta...
Coś mi w piersi dech zdławiło...

Michał.

Czarkę wódki łyknąć było,
Wszystko poszłoby jak z płatka.

Stanisław.

Raz pomyślę, trzebaż oto
Kłębek wysnuć do ostatka;
Rzeknę do niej: Jam sierotą,
Wzrosłem w ciężkiej poniewierce,
Lecz Bóg ręce dał do młota,
Do kochania dał mi serce.
Ja też nędzy się nie trwożę
Bądź Maryniu moją żoną,
Życie wiankiem się wymota.

Michał.

I cóż ona?

Stanisław.

Lica hoże
Jak różyczka cudnie spłoną,
Skromnie spuszcza w ziemię oczy,
Gdy odchodzę, rączkę poda,
A jam zadrżał, krew nie woda!..

Michał.

Mówże dalej co się stało?

Stanisław.

Przestąpiłem próg radośnie,
Pierś mi ledwie nie wyskoczy,
Głowa pała, serce rośnie...
Przeczekałem chwilkę małą,
Tuż za drzwiami, klucz wyjęty...
Na otworze kładę ucho...
Com zasłyszał... Boże święty!
Śmiech się rozległ w izbie głucho,
Mróz mnie przejął wskroś do kości...
Ona szydzi bez litości
Z kogo? ze mnie! Matko, rzecze,
Nasz Stanisław bardzo... głupi!..

Michał.

Cóż ty na to?

Stanisław.

Bracie drogi!
Czy widziałeś kiedy wołu,
Gdy go ujmie człek za rogi,
I do słupa go przytroczy,
I powali w łeb obuchem?
Straszno ślepie zwierz wyłupi,
Krwawą pianę z pyska toczy...
Jam te męki przetrwał duchem,
Jakby wszystek świat pospołu,
Walił we mnie z tą nikczemną!..

Michał.

Biedny Stachu!

Stanisław.

Nie wiem wcale
Co się potem stało ze mną...

Michał.

Utopiłeś w trunku żale...

Stanisław.

Tak, upiłem się raz drugi...
Piekło przyszło do posługi,
Tuman zmysły me ogarnie;
Roi dziwy, myśl w obłędzie,
Ale złuda przyszła w końcu.
Pomnę, dzionek był tak jasny,
Zbudzon, zwracam twarz ku słońcu;
Pytam z trwogą, co to będzie?
Mnie tak pusto, świat mi ciasny,
Jak tu przetrwać te męczarnie?
Jak się wyrwać z tej katuszy?
Myśl do ziemi tak przyrosła,
Nic nie umiem prócz rzemiosła,
Ból mi serce ujął w kleszcze,
Krew się wszystka we mnie burzy,
Czas że z błota wybrnąć jeszcze?

Michał.

I jam ciężko zagrzązł w bagnie,
Mnież się bracie troszczyć o to?
Kto ku ziemi karku nagnie,
Czas-że patrzyć mu za słońcem?
Ludzie pchnęli mnie w to błoto,
Im przed Bogiem zdać rachunek!
Dobry trunek na frasunek,
Krótkie życie... koniec—końcem....

Stanisław.

Ależ smutno gdy pomyślę...

Michał.

Kto na myśli życie trwoni,
Przepadł!...

Stanisław.

Wziąwszy rzeczy ściśle,
Nie my głupi, ale oni
(śmieje się szyderczo)
Cha, cha, cha, cha! Chciałem z duszy
Nie być głupim: składam ręce...
Proszę, błagam... trudna rada...
Nikt nie ulżył mojej męce.
Ramionami każdy ruszy,
Daj mi pokój! Odpowiada,
Czym ja winien? Ha! Piłaty!
Kainowe straszne plemie,
Bezbożniki, rodzie smoczy,
Wam to ziarno co tu drzemie
(uderza się w piersi)
Było ustrzedz od zatraty!
Moje głupstwo waszym grzechem,
Bo wy mądrzy, wy uczeni...
I parsknąłem czarcim śmiechem,
Niech im lica wstyd zrumieni!
Śmiałem, śmiałem się im w oczy;
Śmiech to zemsta moja cała!

Michał.

Szatan zmysły ci zamąca,
Z twego czoła pot się toczy,
Chodźmy żywo pod zająca!

Stanisław.

Albož kiedy pozostała
Na dnie czarki twej kropelka?
Nie darujesz jej Michale!
Tak też sercu ulga wielka,
Gdy wyrzuci z głębi żale!..

Michał.

Tylko nie nudź!

Stanisław.

To ukrzepi,
Ukołysze...

Michał.

Idźmy lepiej!

(d. n.)

NIEZROZUMIANY

OBRAZEK KARNAWAŁOWY

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

Wmieszał się teraz patron do rozmowy.

— Zwracam uwagę państwa na to — rzekł z powagą — że to co dzisiaj nastąpiło jest tylko prostą konsekwencyą tego, co przedtem było. Nie powiem, że to się działo z wolą i wiedzą osób tutaj przytomnych, ale usłużna przyjaźń i życzliwość bardzo źle w tym względzie się przysłużyła. Ja o tem wiedziałem i czekałem spokojnie takiego końca, jaki dzisiaj nastąpił. Przebieg bowiem wszystkich rzeczy ludzkich odbywa się według pewnych ustaw sprawiedliwości dziejowej, która prędzej czy później musi się objawić!...

— Co tam pan o historyi teraz prawisz! przerwał mówiącemu pan Piotr—wolałbym ażeby dzisiejszej historyi wcale nie było!

Nieusprawiedliwiono tem wcale pana Rafała, który nie postąpił sobie jak człowiek honorowy. Był

bowiem w możności wybierać towarzyszkę życia bez żadnych względów ubocznych, idąc tylko za uczuciem!...

— Ma przecież tak piękny majątek! wtrąciła pani Piotrowa—ale dzisiaj mężczyźni nie umieją kochać bezinterosownie! Miłość u nich to interes!

— Niech pani tak bezwzględnie nie mówi—przerwał patron — bo tym sposobem ubliża się najdroższym skarbom człowieka, jakie Bóg złożył w jego sercu!

— Ach to serce. serce! Wszyscy mówią o tem sercu, a gdy przyjdzie starać się o rękę, to pytają o posag!

— To dzieje się najczęściej tam, gdzie użyty był pewien wabik posagowy!

— Co pan mówisz o wabikach! Gdy się mężczyzna prawdziwie zakocha, to przecież nie powinno mu chodzić o posag!

— Masz pani słuszność — miłość prawdziwa jest bezinteresowna!

— Mężczyzna przed ślubem nie powinien nawet pomyśleć o posagu.

— Jeżeli ma sam majątek, lub jest człowiekiem pracy, która rodzinę utrzymać może. Spekulanci, próżniacy, polują za posagiem — człowiek biedny zrzeka się sam dobrowolnie swego szczęścia.

— Mężczyzna gdy kocha nie powinien tak bardzo ważyć swego kroku — mniej lub więcej pieniędzy nie stanowi szczęścia!... Pan Rafał jest nikczemnik!

— Czy i pani zgadzasz się z temi słowami? zwrócił patron zapytanie do Zenobji.

Zenobija spojrzała zamyślona przed siebie.

— Prawdziwa miłość—odpowiedziała—umie być skromną w swoich wymaganiach.

Patronowi uderzyła krew do głowy. Zawołał drżący ze wzruszenia:

— Jeżeli tak pani mówisz. to niechże wymówię ostateczne słowo, które w głębi duszy mojej dotąd chowałem. Czy mogę to zrobić?

Pani Piotrowej ładna myśl przyszła teraz do głowy. Jakby to dobrze było, gdyby przed rozgłosem niefortunnego dzisiejszego wydarzenia, rozeszła się wiadomość o deklaracyi i o przyjęciu pana Michała!..

— I owszem — odpowiedziała spojrzawszy na córkę—ciekawi jesteśmy, co nam pan powiesz!..

Patron nabrał w piersi powietrza.

— Najprzód powiem państwu, że nie mam co do ekspektoracyi majątkowych najmniejszego złudzenia!

— Bardzo słusznie! dorzucił pan Piotr, który uważał za stosowne zabrać głos teraz.

— Pewne usiłowania... mogły być podyktowane zbytnią miłością rodzicielską—ale one mnie nie złudziły. Praca moja, która zrazu daje mi bardzo skromne owoce, może z każdym rokiem hojniej mój trud wynagradzać.

— Mówiąc o widokach przyszłości niepodobna pominąć pewnych nadziei... zauważyła pani Piotrowa patrząc na męża.

— Widzisz pan — zauważył tenże — ja przedewszystkiem lubię otwartość i sytuacyę pewną!

— Spowiadam się jak na spowiedzi. Jestem pewny że mogę otoczyć troskliwą opieką nietylko przyszłą towarzyszkę żony ale nawet...

— Przedewszystkiem chciej mi pan otwarcie powiedzieć...

— Jak najotwarciej powiadam, że od pierwszego wejrzenia ujrzałem w pannie Zenobji mój ideał upragniony i całem sercem zwróciłem się do niej...

Zenobija podniosła do połowy jedwabne rzęsy i nieznacznie spojrzała na patrona.

— Jeżeli tak—to rozmówmy się otwarcie wtrącił p. Piotr.

— Za pozwoleniem—niech panna Zenobija wprzódy na to zezwoli przerwał patron.

— Zdaję się w tym względzie na wolę rodziców, cicho wyszepnęła Zenobija i zarumieniła się pięknie jak wschodząca jutrzenka.

Patron pokraśniał na twarzy. Słychać było wjego piersi głośno bijące serce.

— Jeżeli tak — odpowiedział drżącym głosem — to wyznam szczerze i otwarcie, że tylko czysta i bezinteresowna miłość powoduje moim wyborem... jak tego właśnie przed chwilą życzyła sobie pani dobrodziejka....

Pani Piotrowa spojrzała na męża. Pan Piotr odchrząknął z powagą.

— Pozwól pan najprzód siebie zapytać o pewne sperandy majątkowe... co do mnie, powiadam panu otwarcie, że córka nasza będzie miała dwakroć stotysięcy!

Patron spojrzał z uśmiechem na mówiącego. Pan Piotr położył rękę na sercu i rzekł:

— Słowo uczciwego człowieka, że mówię prawdę!

Pan Piotr miał teraz takiej uczciwości wyraz na twarzy, że niepodobna było nie wierzyć.

Patron przybladł.

— Zenobija ma dwakroć stotysięcy! powtórzył machinalnie.

— Mąż mój oblicza bardzo skromnie — majątki ziemskie podniosły się teraz znacznie, dorzuciła pani Piotrowa.

— Dwakroć stotysięcy! jeszcze raz powtórzył patron, jakby mówił do swoich myśli.

Myśli jego były teraz bardzo smutne. Wymarzony jego ideał przemienił się nagle w pannę posażną!.. W poetycznych mrzonkach swoich uroił sobie poczciwy patron, że tylko wtedy byłoby szczęście jego trwałe w miłości, gdyby ukochana przez niego kobieta, wyłącznie na jego opiece spocząć mogła. Teraz zaś zmieniła się sytuacya. Zenobija była panną posażną... Ale zapóźno było targować się z sobą. Marzenia jego już się zrosły z istotą, którą w dziwnej krasie widział w tej chwili przed sobą.

Westchnął z całej piersi i rzekł:

— Jeżeli tak, to łudziłem się okrutnie. Zapóźno jednak cofać się. Myślałem, że na miłość panny Zenobji zarobię sobie własną pracą i szczerem bezinteresownem uczuciem, a tak... muszę tylko żebrać wzajemności!

I jasne łzy zaświeciły się w oczach patrona.

Temi łzami żegnał poczciwy marzyciel swój upragniony, dawny ideał!

— Dla czego żebrać wzajemności? zapytała zdziwiona pani Piotrowa.

— Bo czemże jest praca osobista w obec posagu panny Zenobji? odparł zmienionym głosem patron.

— Przecież mówiliśmy o sperandach majątkowych!...

— Nie mam żadnych!

— Jakto?... Przecież bezdzietni krewni..

— Mają bliższych odemnie krewnych!

— Więc pan nie możesz liczyć na żadne spadkobierstwo?

— Na żadne!

Patron wymówił te słowa z pewną dumą i podniósł głowę do góry.

Zmieszanie i zakłopotanie malowało się na twarzach obecnych. Zenobija patrzała w ziemię.

Pan Piotr odchrząknął kilka razy a po niejakiej pauzie ozwał się z powagą:

— Panie Michale! Jesteś pan zacnym i poczciwym człowiekiem. Mam dla pana wielki szacunek. Ale przymawiam teraz do rozsądku: Czy pan byłbyś w tak nierównych warunkach szczęśliwy?

— Klnę się na Boga, że uczucie moje było bezinteresowne! odpowiedział patron i błagalnie spojrzał na matkę Zenobji, która takiegoż uczucia wymagała dla swojej jedynaczki.

Ponieważ jednak teorya pani Piotrowej odnosiła się do pana Rafała a nie do niego, biedny patron nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoje błagalne spojrzenie.

Odpowiedział pan Piotr:

— Bezinteresowne uczucie czyni panu zaszczyt, ale chciej pan zważyć, że nierówność majątku i pozycyi mogłaby kiedyś szczęściu pana zawadzać...

Patron spojrzał na Zenobiję. Była piękną, piękniejszą niż kiedykolwiek, ale stała smutna i nieruchoma jak posąg z marmuru...

Patron oprzytomniał i podniósł głowę do góry. Piękna. szlachetna duma zabłysnęła w jego oczach.

— Masz pan słuszność — zawołał z widocznem wysileniem — w takich warunkach nie ma dla nas szczęścia! Dziękuję za tak życzliwe i serdeczne słowa!

Rzekłszy to skłonił się wszystkim i szybko wybiegł z pokoju. Zdawało się Zenobji, że jakaś jasna smuga światła szła za nim...

Poczciwy pan Piotr patrzał z rozczuleniem za niemniej poczciwym człowiekiem, ale nie chciał być w swoich zdaniach mniej konsekwentnym od niego. Nie zawrócił go.

Matka i córka nie zachęciły go żadnem słowem, żadnem spojrzeniem do tego.

Uczuł jednak po chwili tak dziwny niepokój w duszy, że wziął czemprędzej futro i czapkę, i wyszedł szukać ulgi na świeżem powietrzu.

Świeże zdarzenia domowe wprawiły pana Piotra w niezwykłe usposobienie. Szedł szerokim krokiem przez ulicę, szedł prosto przed siebie, jakby przed czemś uciekał a czegoś szukał!...

I nagle stanął jak wryty. Przed nim stał ktoś o kim właśnie myślał w tej chwili.

Pan Erazm wyglądał bardzo świetnie. Miał lśniący kapelusz na głowie a na ramionach futro okazałe. Mina była prawdziwie pańska.

Niepowodzenie dnia dzisiejszego wzbudziło w panu Piotrze niezwykłą energiję. Po krótkiem przywitaniu wziął pana Erazma pod rękę i wszedł z nim w ustronną ulicę.

— Dla czego się pan nie żenisz—rzekł do niego—szkoda czasu i młodych lat!

Pan Erazm spojrzał badawczo na pana Piotra.

— Dla czego się nie żenię pytasz pan—odpowiedział z pewnym zagadkowym uśmiechem—na to zapytanie mogę panu szczerze i otwarcie odpowiedzieć!

— Otwartość przedewszystkiem! z radością zauważył pan Piotr.

— Dzisiejsze małżeństwa mój panie zeszły do prostej spekulacyi!

— Święte słowa! Nie ma szczerości!

— Jest to po prostu polowanie na pieniądze!

— Prawda!

— Jedni oszukują drugich!

— Niechże pana za to uściskam!

— Nikczemna frymarka!

— Słowo w słowo moje zdanie!

— Jakże więc pan chcesz, abym dzisiaj zapisał się jawnie do cechu takich konkurentów!

— Przecież nic pana nie obowiązuje, abyś pan do takiego cechu należał!

— Ba — ale pozory, że jestem do nich podobny!

— Znaleźliby się tacy, którzyby pana należycie osądzić potrafili!

— Gdzież ich szukać!

— Znaleść przecież nie trudno!

— Nie lubię nic ukrywać — śmiało i otwarcie powiadam ile wart jestem!

— Wartość człowieka nie mierzy się jedynie...

— Otwartość i szczerość przedewszystkiem!

— Niezawadzi także!

— Ale dziś taka blaga panuje pod tym względem że trudno znaleść wiarę u ludzi!

— Ludzie są zrażeni... ale przecież wiedzą czasem komu wierzyć!

— Cóżby naprzykład rodzice panny pomyśleli, gdybym zaraz na wstępie powiedział, że mam dwakroć sto tysięcy okrągłych...

— Pomyśleliby, że pan rozsądnie przystępujesz do tak ważnego kroku!

— Czyżby uwierzyli że nad tę cyfrę nie mam ani mniej ani więcej!

— Szczerość pana zasługuje na wiarę... czy grywasz pan w cwika?

— Namiętnie! Jest to najrozsądniejsza ze wszystkich gier towarzyskich!

— Zapraszam pana dzisiaj na partyjkę!

. . . .

We dwa tygodnie potem mówiono w pewnych kółkach towarzyskich, że pan Erazm jest zdeklarowanym konkurentem panny Zenobji. Za miesiąc zaś, mimo małego oporu, nastąpiły uroczyste zaręczyny, poczem w krótkim czasie odbył się na wsi podlaskiej ślub okazały, o którym w okolicy bajeczne rzeczy opowiadali.

Zenobija miała suknię z Paryża — wyprawę z Drezna, a różne przysmaki sprowadzono aż z za morza. Wesele uświetniło nawet dwóch hrabiów, przyjaciół pana młodego, co panią Piotrową bardzo uszczęśliwiło.

Mały opór który z razu pan Piotr stawiał tak nagłej kopulacyi, pochodził ztąd, że chciał się lepiej rozpatrzyć w majątkowej pozycyi narzeczonego. Ponieważ jednak była na Wołyniu wioska rodzinna, a dołączywszy do tego szczere i otwarte przyznanie się do dwóchkroć sto tysięcy, co nawet blizcy znajomi pana Erazma potwierdzili — i łagodny nacisk ukochanej małżonki, której świetne stosunki przyszłego zięcia bardzo się podobały, nie pozostało więc panu Piotrowi nic innego, jak tylko szczęśliwy związek ojcowską ręką pobłogosławić.

Tak zakończyła się sprawa, którą pan Piotr za równie ważną uważał z procesem o las graniczny z swoim miłym sąsiadem.

Sprawa ta narobiła w powiecie wiele hałasu, udaremniła nadzieje niejednego kawalera powiatowego, a najwięcej dokuczyła poczciwemu patronowi, który teraz zachwiał się w wierze swojej w rozumny i sprawiedliwy przebieg wszechrzeczy na ziemi, jak się zwykł był wyrażać. Brakło mu w tej sprawie Nemezy i nagrody, co go mocno martwiło mimo bolących ran własnego serca, jakie był odniósł.

Taki stan rzeczy trwał kilka miesięcy.

Państwo młodzi wrócili właśnie po skromnej poślubnej wycieczce z Wiednia pod strzechę pana Piotra.

Pan Piotr uściskał oboje i ucałował, ale jako człowiek praktyczny i otwarty, zapytał zięcia jak się urządzić zamyśla.

Wywdzięczając się za taką otwartość, odpowiedział pan Erazm, że jest mu wszystko jedno, czy będzie mieszkał na Podlasiu czy Wołyniu.

— Jakto? zawołał dziwnem przeczuciem rażony pan Piotr.

— Bo jeden majątek trzeba z ręki wypuścić—odpowiedział z całą otwartością pan Erazm.

— A to dla czego?

— Wołyń... jest zadłużony nad wartość!

— Zadłużony nad wartość!

— Albo dla wspomnień rodzinnych ocalić Wołyń a sprzedać Podlasie — albo puścić Wołyń na pastwę żydów!

— Mówiłeś że masz dwakroć sto tysięcy...

— Mówiłem przecież... o długach! Tyle jest, ani mniej ani więcej... daję słowo honoru!...

. . . .

. . . .

Szkoda że tej rozmowy poczciwy patron nie słyszał—byłby może zatrzymał wiarę swoją w normalny przebieg wszechrzeczy ludzkich na ziemi w ogólności, a w powiecie podlaskim w szczególności.

Nemeza bowiem uwidomiła się teraz, chociaż tylko przez fatalne nieporozumienie.

Nie był zrozumiany!

Kto? Pan Erazm czy... Michał?

Pan Piotr myśli tylko o pierwszym—ale serce kobiece zawoła kiedyś z goryczą, że—drugi!

ODPOWIEDŹ

na wiersz Elizy R. p. t. „Umiej."

Kto jesteś Ty! że tak przemawiasz do mnie?
Czy anioł stróż? — O nie! bo aniołowie
Nie każą ludziom cierpieć tak ogromnie
I cierń przed laurem nosić im na głowie.

Czy ty istotą — co bolała wiele,
Że rady dajesz na moje cierpienie?
Czy umiesz smutek zamienić w wesele,
Czy umiesz przeszłość rzucić w zapomnienie?

Nie. Ty nie umiesz kazać zamknąć duszę
Dla wszelkich pragnień, a więc i nadziei!
Masz że ty serce? Więc już ja żyć muszę
Jak zimny polip w swej życia kolei?

Czyś ty genijuszem, co podobnym sobie
Daje korony z ciernia i wawrzynu?
Więc wskaż mi drogę, będę wdzięcznym tobie,
Odważnie przez cierń pobiegnę do czynu.

Lecz tyś nie genijusz! nie wskazujesz drogi,
Nie dajesz celu życia mi żadnego,
A iść doń każesz. Byłbyś sam ubogi
Duchem, nie mogąc mi wskazać innego.

Mam śmiać się przez łzy? Och! ja lepiej umiem,
Bo łez nie puszczam do oczu, gdy śmiechem
Objawiam radość; lecz jej nie rozumiem,
Bo ta ponurym w duszy odbija się echem.

Mam o chleb walczyć? A na co mi chleba?
By żyć? żyć na co? Nie wskazujesz celu,
A żyć bez celu — to walczyć nie trzeba,
Ustąpić lepiej; na świecie tak wielu!

Mam grzebać własną dłonią co się śmiało
Do mnie? Czyż śmiało się fałszywie? Poeto!
Czyż na prawdę przez pryzmę patrzało
Moje oko? O nie to mi mów, nie to!

To by znaczyło wiarę stracić w siebie,
W ludzi, we wszystko: w Boga i w zbawienie!
I w to co słyszę ja teraz od ciebie,
Wszystko, wszak wszystko może być złudzenie!

O! Ty nie jesteś mym stróżem aniołem,
Ani człowiekiem co współ cierpiał ze mną,
Ani genijuszem z wawrzynem nad czołem,
Tyś zwykły człowiek — więc radzisz daremno.

Lecz jeśli kiedy tobie los złowrogi
Zniszczy do szczętu wszystkie twe pragnienia,
Kiedy przed sobą już nie ujrzysz drogi,
Kiedy pociechą gardzisz na cierpienia,

Wtedy daj radę — sobie. Radę taką
Szlij do mnie, może okaże się ona
Szczęściem i dla mnie i może jednako
Nam służyć. Wtedy — bądź zbawiona!

F. P.

Literatura zagraniczna.

KOBIETA W OBEC EKONOMJI SPOŁECZNEJ.

(Ciąg dalszy).

II.

Autor jest sprawiedliwym, więc nie wymaga od kobiety, ażeby instynktowo odgadywała dochody męża i poznawała granice wydatków na gospodarstwo domowe. A trzeba przyznać, że wiele, bardzo wiele mężów wymaga tego od żon swoich. Znoszą oni bowiem obojętnie, a raczej lekkomyślnie początkowe, nieznaczne przekroczenie tych granic, a dopiero gdy miarka się przebierze występują z wyrzutami. Dr. Stein wymaga stanowczo, ażeby kobieta jako reprezentantka gospodarstwa domowego, jako szafarka wydatków, wiedziała dobrze, gdzie leży granica której przekraczać nie wolno bez niebezpieczeństwa dla szczęścia domowego. Rozsądny mąż, powinien zawsze wyjaśnić żonie cały stan gospodarstwa domowego i wspólnie z nią ułożyć niejako jego budżet. Mężczyzna nie może tu wyłącznie rozkazywać i wymagać od kobiety ślepego posłuszeństwa. Ona bowiem jest właściwą panią wydatków i gospodarczych potrzeb, więc powinna mieć głos nietylko doradczy, ale powinna wpływać na ten budżet domowy, jako czynnik ważny, decydujący o praktycznym skutku. Takie porozumienie obu czynników gospodarstwa domowego zapobiegnie złemu, gdy tymczasem w przeciwnym razie bezwzględne postępowanie jednej albo upór lekkomyślny drugiej strony, sprowadza klęskę mimo wszelkich warunków powodzenia. „Nie na rachunku kuchennym —mówi dr. Stein— lecz na oznaczeniu sumy, z której rachunki te mają być pokrywane, polega to, co nazywamy ekonomiczną emancypacyą kobiety."

Uwagi te brzmią bardzo prozaicznie, zakrawają na jakieś targi domowe, z których prędzej niż z niedoborów wywiązać się mogą kwasy i niesnaski. Ależ na wszystko znajdzie się trafna i stosowna forma, a od kobiety także nie mało zawisło, ażeby w tej czynności gospodarczej przestrzegane były stosowne formy i słuszna miara.

Z dochodów ogólnych idzie tylko jedna część na prowadzenie gospodarstwa domowego, i tylko do tej części odnoszą się powyższe uwagi o jej równowadze z wydatkami. Drugą często znaczniejszą częścią rozporządza mężczyzna w swoim zupełnie samodzielnym zakresie działania, na przedsiębierstwa, spekulacye i t. d. Dr. Stein nazywa to wielkiem dobrodziejstwem dla męża, jeżeli i w tej mierze stara się wtajemniczyć żonę w interesa i wysłuchać jej rady Gdyby dr. Stein wygłosił był swój odczyt Wiedeńkom przed r. 1873, może niejedna rodzina stolicy austryackiej nie byłaby popadła w nędzę w skutek „krachu". Kobieta bowiem nawet skłonna do lekkomyślnego postępowania w drobnostkach, często w sprawach większej wagi jest przezorniejszą niż mężczyzna i nie ufa śmiałym projektom.

Z sześciu części składać się ma według dr. Steina budżet gospodarstwa domowego. Pierwsza część potrzebną jest na pomieszkanie, druga na stałe domowe potrzeby, na ubiór, światło, opał i służbę; trzecia na nadzwyczajne wydatki, na koszta słabości, ubezpieczeń, straty a przytem na rozrywki i zabawy;

czwarta część stanowić powinna rezerwę, niejako domową kasę oszczędności, która przy ciągłym wzroście zmienia się w uposażenie dla dzieci. W obrocie tych wydatków mężczyzna i kobieta mają równą kompetencyę. Dwie dalsze części stanowią wydatki dzienne i tygodniowe. Jest to właściwe gospodarstwo domowe, w którem kobieta powinna być panią nieograniczoną. Ma ona zatem pod swoją władzą trzecią część całych dochodów, a na obrót dwóch innych części wywiera wpływ znakomity, równorzędny z wpływem mężczyzny.

Autor nie chce wchodzić w drobnostkowość, ale zawsze zaznacza, że część gospodarstwa oddana wyłącznie kobiecej kompetencyi, zastosować się musi do pewnych prawideł, do ściśle oznaczonego stosunku i stosownej miary, jeżeli nie ma być zachwianą równowaga, której brak odbiłby się rychło także i w innych częściach gospodarstwa domowego. Autor nie wskazuje tych prawideł ale mniema, że nie byłoby w tem nic niestosownego albo dziwnego, jeżeliby w szkołach żeńskich wymagano trafnej odpowiedzi, nie na subtelne zagadnienia chemiczne lub inny zawiły temat, lecz na pytania: ile np. rodzina posiadająca pewien w cyfrze oznaczony dochód, wydać może w przecięciu na obiad, na kawę, na rozrywki, ile wydać trzeba na ubiór i bieliznę w rodzinie z pięciu osób złożonej, ile drzewa wymaga kuchnia na pięć osób?

— Dajmy córkom naszym — woła autor — co możemy i chcemy, ale chociażbyśmy najwięcej dać mogli, nie zapominajmy, że najwyższą, najpiękniejszą i najcenniejszą wyprawą jest żywe poczucie obowiązku, ażeby codzienną pracą umiała utrzymać ścisły porządek i karność w gospodarstwie domowem: nie zapominajmy, że ostatecznie na tem polega gospodarstwo społeczne. Uczmy córkę być nie tylko kobietą lecz i gospodynią, wpajajmy w nią poczucie miary i zdolność do zastosowania miary, ażeby nie zapominała o rachunku dziennym i ażeby każdy rachunek dzienny zostawał w harmonji z rachunkiem rocznym.

Dotąd przedstawiał nam autor kobietę jako czynnik zarządzający w gospodarstwie domowem, dotąd kobieta była tylko pomocną mężczyźnie, który przedstawiał się jako głowa rodziny, dostarczająca środków do zaspokojenia potrzeb. Przychodzi teraz kolej na drugie pole działalności kobiety, na którem jest siłą czynną, dobrym genijuszem nietylko w chwilach przelotnych, ale w całem życiu. Tem polem jest dom, a jego królową jest kobieta.

Rozmaitem i rozległem jest pojęcie domu. Dla jednego jest on zwykłą posiadłością, zwykłem dobrem: dla drugiego pomieszkaniem mniej lub więcej wygodnem, dla trzeciego wreszcie środkiem lokowania kapitałów. Ale dom w wyższem, szlachetniejszem znaczeniu, stanowi zwrot w dziejach ludzkości, a pojęcie domu powinno być pierwszą wielką podstawą ekonomicznego wykształcenia kobiety w kierunku czynnym, dodatnim, tak jak rachunek domowy stanowi podstawę jej gospodarczego działania.

Naród nie znający domu w tem szlachetniejszem pojęciu, jest narodem barbarzyńskim. W dziejach ludzkości odgrywały takie narody nieraz głośną rolę, występowały z potęgą elementarnej siły, wygrywały wielkie bitwy i niszczyły potężne państwa, ale nie stworzyły żadnego organizmu państwowego, jeżeli przedtem nie stworzyły sobie domu. Życie domowe dopiero umoralnia jednostkę, a dom jest kamieniem węgielnym cywilizacyi narodu. Kto w domu nie znalazł punktu ciężkości swojego życia, ten w ogóle nie posiada takiego punktu.

Dom nie jest ani faktem ani martwą rzeczą, lecz siłą potężną i pełną wpływu tajemniczego. Tej siły domu nie stanowi jego wygodne urządzenie, wielkość lub piękność lecz — kobieta. W domu i dla domu kobieta jest przedstawicielką szczęścia, pokoju i wszystkiego, co nam szczęście i spokój przynoszą. Próg domu dzieli w życiu pracującej ludzkości, dwa niepodobne do siebie światy daleko silniej i głębiej niż może części kuli ziemskiej. Czy mężczyzna oddalony jest od swojego domu o kilka mil, czy od domu tylko drzwi pomiędzy izbą roboczą a pomieszkaniem—zawsze po jednej i drugiej stronie progu domowego widzimy dwa odmienne kierunki życia, dwa całkiem odrębne światy.

W chwili, gdy mężczyzna przekracza próg swojego domu opuszcza rodzinę i należy do świata, w którym pracuje: w chwili zaś gdy powraca do domu, opuszcza ów świat i należy tylko do rodziny. Takiemu przejściu ze świata ruchliwej i hałaśliwej pracy do spokojnego i cichego domu, towarzyszy dziwna a tak słodka zmiana w całym nastroju umysłu, w całem usposobieniu. Na progu domu wita mężczyznę kobieta a już pod czarem jej słodkiego powitania, zapomina on o troskach i znojach codziennej pracy. Wypogodzone oblicze promieni się zadowoleniem na widok przyjemności, jakie go czekają w świętym przybytku szczęścia domowego, dzięki — kobiecie...

Dom powinien być nietylko państwem kobiety, lecz jej dziełem, owocem jej pracy, rozpryśniętej w codziennem życiu na tysiące trosk i zadań, a wytwarzającej z siebie najpierwsze warunki szczęśliwego i spokojnego pożycia. Pracę tę przedstawia nam autor obrazowo i z widocznem zamiłowaniem.

Dziełem kobiety jest najpierw ów porządek domowy, bez którego dom przestaje nas nęcić do siebie. Pomyślmy sobie, że baczne oko kobiety przestało na chwilę czuwać nad temi drobnemi przedmiotami, które stanowią i stanowić muszą część składową każdego domu. Zda się, że wtedy jakaś siła niewidzialna zaczyna złośliwie gospodarować i przenosić każdą rzecz na niestosowne dla niej miejsce. Siła ta nie spoczywa dopóki nie doprowadzi do zupełnego zamieszania i nieładu. Krzesło przenosi się pod jej wpływem na środek pokoju, stół dostaje się ni ztąd ni z owąd pod ścianę. suknia ciekawie wygląda z po za otwartych drzwi szafy, kapelusz porzuca niewygodną pozycyą na kołku, lasce zachciewa się leżyć na takiem miejscu, gdzieby się każdy mógł o nią potknąć — jednem słowem: wszystko wyłamuje się z karbów codziennego porządku. Wtedy dopiero można ocenić całą wysoką wartość porządku, gdy szukamy czegoś daremnie na właściwem miejscu, gdy oko na każdym kroku widzi niestosowność i nieład, gdy zdaje się, że w domu nie ma niczego, chociaż są w nim wszystkie rzeczy potrzebne. Straciwszy porządek domowy tracimy z nim panowanie nad częściami składowemi domu.

(*d. n*).

Korespondencya z Madrytu.

(Dokończenie).

Zazwyczaj wszelkie uroczystości i obchody, odznaczają się w Hiszpanji ruchliwością i zgiełkiem; jedna tylko wyróżnia się spokojem i prawie milczeniem: tą, poważną uroczystością jest obchód kwietniej czyli palmowej niedzieli.

W pobliżu kościołów zasiadają handlarze palm, prawdziwie artystycznie wyrobionych, wszelkich kształtów i rozmiarów. Jedne są wysokie, inne krótkie, jedne wysmukłe, inne jakby płaczące; tamte znów jakieś fryzowane, układające się w dziwaczne arabeski, oryginalnie a wdzięcznie ułożone; inne jeszcze zdobne tylko przyrodzonym swoim wdziękiem, a te nie są najmniej ładne.

Palm tych rozsprzedaje się niezliczona ilość; to też przez cały ten dzień ulice przedstawiają widok jakby chodzącego lasu. Wszyscy niosą palmy swoje do poświęcenia do kościołów, a nazajutrz przyozdabiają niemi balkony.

Mało która z pięknych, kupujących te palmy Madrytanek, zastanawia się zkąd one pochodzą, i ani wie na jak groźne niebezpieczeństwa narażają się biedni ludzie zajmujący się ich dostawą. Wasz korespondent był ciekawszy — i oto czego się dowiedziałem.

Pod pięknem niebem prowincyi Alicante i Andaluzyi, przepyszna rozwija się roślinność. Za szpalerem aloesów i kaktusów, wznoszą się wspaniałe drzewa pomarańczowe i cytrynowe, drzewa oliwne, winnice, figi i granaty: wszędzie wśród nich przejrzysta woda tryska z ziemi i spada między woniejące wybrzeża. Morze szemrze w oddali, a wietrzyk wiejący od niego, chłodzi powietrze afrykańskiem ogrzane słońcem. Lasy odwiecznych olbrzymich palm wznoszą wysoko wspaniałe swe wierzchołki; spojrzawszy w górę można dojrzyć na wysokości sprawiającej zawrót głowy, ludzi uczepionych do drzew palmowych u samego szczytu, w miejscu gdzie pień zamienia się już w łodygę; obcinają oni wierzchołki które następnie jako palmy kwietniej niedzieli, rozchodzą się po całej Hiszpanji. Oswojeni z niebezpieczeństwem przyśpiewują sobie przy tej śmiercią lub kalectwem zagrożonej robocie. Rok rocznie wydarza się iż pęka lina podtrzymująca pracownika, lub wicher łamie szczyt palmy z której obcina gałązki — w takich razach nieszczęśliwy spada na ziemię z roztrzaskaną głową, rodzina przywdziewa żałobę, a nikt z kupujących palmy w kwietnią niedzielę, ani pomyśli że niektóre są krwią zbryzgane!

Święta Zmartwychwstania Pańskiego obchodzone bywają przez nader uroczyste nabożeństwa, które w tutejszych kościołach odbywają z równym prawie jak w Rzymie przepychem i wystawnością.

Na zakończenie donoszę, że Hiszpanija ma swoich Romea i Juliją, znanych tam powszechnie pod nazwą „kochanków z Teruel'u." Gdyby Shakespeare znał był tę legendę, może dałby jej pierwszeństwo nad legendą o kochankach z Verony.

Legenda hiszpańska była przedmiotem kilku utworów dramatycznych, lecz autorowie naginają ją zawsze do wymagań sceny; oto jak mi ją opowiedziano przy grobie tych dwojga najwierniejszych kochanków z całej Hiszpanji, gdy zwiedzając Aragoniję, zboczyłem do Teruel.

Na początku XIII wieku żył w Teruel młody Diego de Marcilla i piękna Izabella de Segura; kochali się bardzo. On był biednym, ona bogatą. Jak to z dawien dawna bywało, że najwznioślejsze uczucia poświęcano zawsze uwielbianemu „złotemu cielcowi," tak też i ojciec Izabelli, głuchy na ich miłość, uparcie odmawiał biednemu Diego ręki swojej córki.

Odważny młodzian postanowił probować szczęścia w świecie; miał długą, ostatnią rozmowę z kochanką, która przyrzekła mu wierność aż do jego powrotu, poczem pożegnał ulubioną i poszedł bić się z Maurami.

W parę lat potem, przybył do Teruel niejaki Azagra, któremu pewien jego przyjaciel raniony śmiertelnie na placu boju, powierzył listy bardzo kompromitujące matkę Izabelli. Nikczemny Azagra grozi nieszczęśliwej kobiecie że wyjawi jej winę, jeźli mu nie odda ręki swej córki. Daremnie biedna matka błaga go aby odstąpił od swego zamiaru, przedstawia wzajemną, gorącą miłość Izabelli i Diega; rozpacz w jakąby ich wtrącił ten przymuszony

związek: daremnie płacze i zaklina, Azagra pozostaje nieubłagany; chce posiadać piękną i bogatą Izabellę; tylko jej ręka zdoła okupić jego milczenie.

Młoda dziewica była przypadkiem w sąsiednim pokoju i usłyszała całą tę rozmowę. Tam gdzie z jednej strony idzie o jej miłość, z drugiej o cześć jej matki, Izabella nie może się wahać; — otwiera drzwi, i blada jak posąg alabastrowy, obu rękami przyciskając serce, zbliża się do Azagry.

— Dobrze więc, rzekła drżącym głosem, zostanę twoją żoną.

I zalana łzami pada w objęcia matki, która okrywa ją pocałunkami.

— Córko!... córko moja ukochana! woła zrozpaczona... nie przyjmuję twojej ofiary... nie chcę abyś przeze mnie była nieszczęśliwą!... Niech niegodny ten człowiek shańbi mnie i zgubi, skoro pragnie tego dokonać—ja odmawiam mu twej ręki.

— Nie, matko, w oczach wszystkich cześć twoja powinna pozostać nieskalaną! odrzekła Izabella, i postąpiwszy chwiejącym krokiem ku panu Azagra, rzekła z godnością: — Jestem twoją narzeczoną!

W dzień ich ślubu, dzwony całego miasta wydzwaniały wesoło; ludność Teruelu tłumnie gromadziła się po ulicach.

— Co znaczą te świetne przygotowania? cóż to za uroczystość ma być obchodzona? pyta młody oficer pędzący na koniu pokrytym pianą i kurzem.

— Nic nie wiesz, senor?... przybywasz chyba z bardzo daleka?...

— Rzeczywiście, z bardzo daleka.

— Otóż dziś ma się tu odbyć ślub pięknej Izabelli de Segura ze znakomitym senor Azagra.

— Co!... Izabella... Izabella de Segura idzie za mąż... Ach! losie okrutny!...

Biedny Diego!... On walczył tak dzielnie, zdobył sobie stopnie i bogactwa, i właśnie gdy uszczęśliwiony wraca do rodzinnego miasta, wita go odgłos dzwonów oznajmiających grób jego miłości!...

Wieczorem Diego czatuje koło pałacu młodych małżonków i gdy Azagra próg przestąpił, przebija go sztyletem, zabiera znalezione przy nim papiery które wyjaśniają mu postępek Izabelli, i upojony radością wpada do pokoju młodej kobiety.

— Wiem wszystko, woła wchodząc, oto listy tłómaczące mi mniemaną niewierność twoją.

— Diego!

— Tak ja! twój oblubieniec!... Kochanko moja! wracam nareszcie, a miłość moja dla ciebie spotęgowała się jeszcze przez te długie rozłączenie...

— Niestety! już nie mogę być twoją!

— I owszem!... jesteś wolną!

— Wolną!... jak to być może?...

— Zabiłem go!

— Zabiłeś go!... zabiłeś tego któremu przysięgłam przed Bogiem... ręce twoje krwią zbroczone... Oh! Diego, oddal się!... nienawidzę cię!...

Młodzieniec spojrzał na nią z wyrazem bezmiernej boleści.

— Nienawidzę cię!... powtórzyła z mocą.

Rażony tem słowem jakby uderzeniem piorunu, Diego pada bez życia, — a niezadługo po nim Izabella umiera z boleści.

Pochowano ich obok siebie w kościele San Pedro, a gdy w pięć wieków później, wyjęto ich zwłoki dla przeniesienia do nowych grobów klasztornych, postrzeżono ze zdumieniem że szkielety ich objęte były uściskiem.

Na kamieniu pokrywającym ich grobowiec, wyryty jest następujący napis:

Tu spoczywają zwłoki sławnych kochanków z Teruelu: Don Juan Diego Martinez de Marcilla i Dona Izabella de Segura, oboje zmarli 1217 r. — Zwłoki ich przeniesione zostały 1708 r.

Tak więc Paryż posiada grobowiec Abelarda i Heloizy, Werona Romea i Julji, a Teruel don Diega i Izabelli. Czyżby już więcej tak wiernych kochanków nie było na świecie?... *K. G.*

Przegląd teatralny.

„Przesądy“ komedya w 5-iu aktach, oryginalnie napisana przez Edwarda Lubowskiego.

W liczbę przesądów jakie od dawnych czasów opanowały nasze społeczeństwo, włączyć możemy niejaką skłonność do stawiania utworów obcej literatury wyżej nad nasze własne, rodzinne płody; w poglądzie szczególniej na literaturę dramatyczną błędne to mniemanie zdołało przyjąć wszelkie pozory uzasadnionego pewnika. Francuzi dający ton modzie, zwyczajom towarzyskiem, salonowemu obejściu się, uważani byli zawsze i wszędzie jako mistrze w tworzeniu dzieł sztuki. Naturalna żywość ich charakteru, niezachwiana werwa, wszechstronny dowcip, łatwość w zawiązaniu intrygi, a nadewszystko sztuczne nagromadzenie efektów scenicznych, stanowiąc szkopuł nie podobny do przezwyciężenia dla tych którzy gruntowniej i poważniej przywykli zapatrywać się na rzeczy, tamowały wiarę w naszą własną potęgę i siłę. Nieulega najmniejszej wątpliwości iż uprzedzenia podobne miałyby niejaką racyę bytu, gdyby wymienione wyżej przymioty stanowiły jedyną, rzeczywistą wartość dramatycznego dzieła. Jednakże nad ponętne błyski tyle mające uroku dla niewykształconych mas, większe bezzaprzeczenia znaczenie daje komedyi, dokładne odwzorowanie charakterów wchodzących w nią osób; jeżeli autorowie nasi niedorównali pisarzom nadsekwańskim w środkach prowadzenia intrygi, jeżeli nie umieli zdobyć tajemnicy tysiąca sposobików, jakiemi francuzi maskują częstokroć niedostatek najważniejszych czynników swoich utworów, w kreśleniu typów natomiast dosięgli ich a może nawet i prześcignęli. Nie mówiąc już o mistrzu komedyi obyczajowej Hrabi Fredrze Ojcu, ani o pisarzu niezaprzeczonych zalet Józefie Korzeniowskim, przytoczymy jako przykład najnowszą erę rozwoju sztuki dramatycznej, w której Narzymski, a następnie Zaleski, Lubowski, Bliziński i wielu innych okazali niepraktykowaną w żadnej cudzoziemskiej literaturze sumienność przy odwzorywaniu wziętych pod skalpel obserwacyjny typów. Dla dokładniejszego przedstawienia swych kreacyi poświęcano nie raz tyle pociągający każdego pisarza scenicznego, a tak trudny do wydobycia efekt, i pozbawiano się dobrowolnie rozkoszy wywołania sztucznego entuzyazmu, a przecież ofiary te nie wszyscy uznać umieli. Na szczęście dziś rzeczy mają się inaczej: ogół wyrobił się, spoważniał, i zaczyna pojmować że to co uchodzi francuzom, niemcom nawet, dla nas jest niestosownem; autorowie zaś radzi z tego zbawiennego zwrotu, starają się kroczyć po wytkniętej przez opinię publiczną drodze, i uczyć wtedy gdy tamci tylko olśniewają.

Komedya pana Edwarda Lubowskiego p. t. „Przesądy“, której treści tym razem dla braku miejsca nie podajemy, jest tego świeżym dowodem. Wszystkie niemal charaktery działających w sztuce osób skreślone są tak pewną i śmiałą ręką, z taką prawdą zaokrąglone i wycieniowane, iż możemy śmiało nie obawiając się przesady, stawić ją pod tym względem wyżej od wielu dzieł o ustalonej sławie cudzoziemskich pisarzów. Żylastowicz, zbogacony przemysłowiec pracą, nienawidzący próżniactwa, a podciągający bezwiednie pod kategoryę pasożytów wszystkich w uprzywilejowanych sferach urodzonych ludzi, siostra jego oddźwięk nieprzetrawionej romansowości z subtelnym zwrotem zachcianek arystokratycznych, płaczliwa Julija, rozkochana Adela, birbant lecz nie zepsuty do gruntu Lucyan, hr. Artur umiejący ubarwiać cynizm i samolubstwo układnością salonową, a nakoniec dwa wyborne typy swojskiego i cudzoziemskiego wydrwigrosza w osobach Laufena i Migdalskiego, stanowią galeryę odfotografowanych z natury, a każących nam oddać hołd niepośledniemu talentowi autora, postaci. Jedna tylko osobistość Zdzisława, wyszła stosunkowo do innych figur komedyi cokolwiek bledziej, z powodu iż kontury jej nie dość silnie określone nikną w świetle na wpół idealnem, przybierając niekiedy pozory zmanierowanej tendencyi. Jest to teorya bezwzględnej doskonałości wcielona w żywego człowieka, który podnosząc się nad kały ziemskie, wchodzi czasami w sferę abstrakcyjną, pozaświatową.

Intryga leniwa nieco w akcie pierwszym, trochę nienaturalna w akcie drugim, rozwija się pełnem życiem w trzecim a mianowicie w czwartym akcie, budząc niezwykłe zajęcie u widzów. Akt piąty będąc niejako dopełnieniem warunków dramatycznych (gdyż w poprzedniej odsłonie można się z łatwością domyślić rozwiązania), stał się dla nas jednem jeszcze więcej dowodem, że p. Lubowski obok wyższego i niezaprzeczonego talentu, nabiera coraz większej rutyny scenicznej. Kto inny mniej wprawny nie zdołałby doprowadziwszy akcyę do jej zenitu, zaspokoiwszy naprzód ciekawość publiczności, wysunć jeszcze tak zajmujący i tak barwny w różne zaokrąglenia szczegółów już wiadomych, dodatek; pan L. wyszedł jednak zwycięzko i z tego trudnego zadania.

Przesądy kastowe, ową walkę zakorzenionych od wieków uprzedzeń, cichą lub donioslą, ukrytą pod pozorami fałszywej grzeczności lub też wybuchającą jawnie na zewntrz, widzimy tylko w tytule i z rzadka w zetknięciu dwóch przedstawicieli wprost przeciwnych sobie idei; w sztuce ona nie istnieje, albo przynajmniej stanowi jedynie tło, na którem autor ugrupował tak różnorodne a tyle artystycznie wycieniowane charaktery. Panu Lubowskiemu dwie pozostały drogi: albo przedstawić wspomnioną walkę w całej potędze dramatycznego rozwoju, albo też zaokrąglić szczegóły typowe — on wybrał ostatnią. Nie śmiemy przesądzać któraby z nich lepiej odpowiadała celowi, możemy tylko sumiennie zaręczyć, iż w obranym kierunku wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Tendencyjność, wyjąwszy w dwóch lub trzech scenach, ustępuje miejsca charakterystyce rozwijającej się od początku do końca sztuki swobodnie, w jędrnym ustroju sił żywotnych. Obrazowanie pojedyńczych szczegółów, zlanie ich w harmonijną całość, nagromadzenie tylu różnorodnych osobistości bez uchybienia prawdopodobieństwu, w jednę miejscowość (mieszkanie Żylastowicza), tak jest umiejętnie przeprowadzone, iż szczupłe rozmiary treści, którąby najwięcej na trzy akta muiej uzdolnionym autorom służyć mogła, nie wywołuje w publiczności znużenia a kilka zręcznych efektów podnoszą ogólne zajęcie.

Nad wszystkiemi mniej więcej żywcem z natury wziętemi postaciami, góruje bezzaprzeczenia Żylastowicz. Ta szorstka poczciwość, ta powaga pracy i czynu przy lekkim odcieniu uprzedzeń kastowych uosobistniła się w mistrzowskiej grze p. Rapackiego z wszelką możliwą dokładnością. Ci nawet z recenzentów teatralnych, którzy zarzucali wspomnionemu artyście jednostajność gry, zmuszeni zostaną przyznać ujrzawszy go w rzeczonej roli, iż nowo stworzony przez niego tak dokładnie, a wystudyowany typ, w niczem nie jest podobnym do poprzednich kreacyi.

Czem był genialny Żółkowski w roli barona Laufena opisać trudno: są objawy które przy najlepszej nawet chęci recenzenta nie dadzą się podciągnąć pod rubrykę suchego sprawozdania. Wszechstronny talent tego niezrównanego artysty znalazł w krótkiej chociaż con amore przez autora wypieszczonej rolce, nowe pole do zbierania zasłużonych oklasków; siostra Żylastowicza ze swojemi śmiesznostkami (pani Niewiarowska), hr. Artur przy swym dystyngowanym cynizmie (p. Leszczyński), zbogacona sokami żywotnemi naszego narodu pijawka w osobie niemca Spürera (p. Ostrowski), lekki lecz w gruncie prawy młodzieniaszek Lucyan (p. Wolski), domorosły pieczeniarz i oszust (p. Szymanowski), a nawet romansowa Adela (p Borkowska), wybornie uwydatnili się w grze swoich przedstawicieli. Trudne zadanie do spełnienia miał p. Tatarkiewicz wytwarzając jasny, czysty, nieskalany lecz jednostajny i idealny charakter Zdzisława. Zdolny ten artysta nie tylko nie popadł w monotonność, ale chwytając niektóre wybitniejsze szczegóły swej roli, jak np. w scenie przeszkodzenia niegodnemu zamiarowi hrabiego Artura, umiał ucieleśnić ową wyanieloną przez autora postać. Odtworzenie załzawionej i cokolwiek chwiejnej w swoich uczuciach Julji, nie odpowiada zdaniem naszem talentowi pani Modrzejowskiej.

Ogólna harmonija gry artystów, w połączeniu z rzeczywistą wartością ocenionego obecnie przez nas dzieła, zapewniły powodzenie komedyi pana Lubowskiego na długo; mamy więc nadzieję iż dyrekcya teatrów Warszawskich, czerpiąc w „Przesądach" źródła dochodów, pozbędzie się raz na zawsze *przesądu* obarczania repertuaru płodami o jaskrawych barwach i ryzykownych sytuacyach francuzkich pisarzów, z ujmą oryginalnych utworów wyczekujących wśród odwiecznego pyłu biblioteki teatralnej, przez lata całe kolei przedstawienia.

Ludwik Niemojowski.

Przegląd literacki.

Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią, przez K. Górskiego. Lwów 1875.

Niniejsza broszurka jest odbitką z „Przewodnika naukowego i literackiego", wychodzącego, jako dodatek do Gazety Lwowskiej. W ramach monografji o pojedynczej specyalnej kwestyi historycznej autor zawarł rzut oka na cały żywot i panowanie Kazimierza Sprawiedliwego.

Na początku krytykuje autor wiadomości historyczne o Kazimierzu podawane przez Roeppla, Karamzina, Zubrzyckiego, Sołowiewa i Szaraniewicza, szczególniej względem stosunków tego księcia do książąt halickich i ruskich, a sam opiera się przeważnie na spółczesnej kronice mistrza Wincentego (Kadłubkiem zwanego).

Mówi potem pokrótce o dziejach synów Krzywoustego. Ciekawą jest przy podziale monarchji kwestya dzielnicy, wyznaczonej trzeciemu synowi—Henrykowi. Wincenty w swej kronice wyraźnie mówi, że Henrykowi dał Krzywousty księztwa Sandomierskie i Lubelskie, inni jednak pisarze, mianowicie niemieccy, wspominają tylko o Sandomierzu. Na tej zasadzie Roeppel utrzymuje, że Lublin należał jeszcze wówczas do księztwa halickiego i że później dopiero został przez Polaków zdobyty. Pan Górski nie zgadza się z tym wnioskiem i zbija go, dowodząc cytatami z kronikarzy, że granice Polski od księztw halickich stanowił Wieprz i że kraj pomiędzy tą rzeką i Wisłą nazywany był zawsze pogranicznym.

Wspomina dalej autor o pobycie Kazimierza u Niemców, w charakterze zakładnika, zkąd wrócił 1163 roku, o następstwie jego na dzielnicę brata Henryka zmarłego 1167 r. (przy tem autor utrzymuje, że nie masz nigdzie wiarogodnego świadectwa, jakoby Henryk poległ na wojnie z Prusakami, jak to powszechnie jest przyjętem); wreszcie o powołaniu Kazimierza na tron krakowski 1177 i o synodzie łęczyckim.

Przechodząc następnie do głównego założenia swej pracy, autor mówi o stosunkach Kazimierza z książętami halickiemi i wołyńskiemi, z którymi był spokrewniony. Rozbiera przy tem zawiłe kwestye genealogiczne i pełny sprzeczności chaos imion i wypadków u kronikarzy. Mowa tu najprzód o zajęciu Brześcia przez Kazimierza w tym celu, ażeby przywrócić ten gród jakiemuś wygnanemu księciu—Kolomanowi, jak mniema autor, a dalej o wmieszaniu się księcia krakowskiego w sprawy halickie.

Rzecz tak się miała. Włodzimierz Jarosławowicz książę halicki, znienawidzony przez poddanych dla dziwactw, srogości i złego życia, zmuszony był opuścić księztwo, które, korzystając ze sposobności, zajął Roman książę włodzimierski. Wygnany Włodzimierz udał się z prośbą o pomoc do króla węgierskiego Beli III, który ruszył z wojskiem do Halicza, wypędził Romana, lecz na jego miejscu osadził własnego syna Andrzeja (spokrewnionego z książętami halickiemi), a Włodzimierza uprowadził ze sobą w niewolę do Węgier. Wypadek ten, który miał miejsce 1187 r. godnym jest uwagi z tego względu, że posłużył za jedyną podstawę *praw historycznych* Austryi do Galicyi w roku 1772: a mianowicie cesarz austryacki (podówczas jeszcze i niemiecki), zarazem i król węgierski, przypomniał sobie wtedy, że przed 6-u prawie wiekami jeden z książąt węgierskich był księciem halickim, narzuconym zbrojnie przez Belę; ztąd wniosek że to księztwo powinno należeć do Austryi. Koniec tej sprawy był taki, że Włodzimierz uszedł z więzienia węgierskiego i udał się z prośbą o pomoc do Kazimierza, który dał mu wojsko i przywrócił 1189 r. na tron halicki, wypędziwszy Andrzeja i Węgrów.

Cały ten krótki szkic napisany z niemałą erudycyą historyczną, mnóstwo tam przytoczeń z kronikarzy i nowszych historyków, których zdania w kwestyach spornych autor zestawia, porównywa i krytykuje. W ogóle przeczytaliśmy rzecz całą z zajęciem, tymbardziej że na niwie badań historycznych panuje u nas, jak wiadomo, posucha i oddawna już nie mieliśmy monografji historycznych, choćby tak szczupłych, jak niniejsza. *W.*

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w następnym trzecim kwartale b. r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe. Suknia z beżu koloru crême z vêtement formą Princésse, z plisowanemi falbanami. Kokardy z wstążki repsowej 5 cent. szerokiej, z jednej strony blado-niebieskiej, z drugiej szafirowej. Kapelusz z szafirowej słomki ubrany repsem niebieskim, koronką crême, kwiatami i liśćmi zielonemi z odcieniem jesiennym; parasolik koloru crême z kokardą tego co przy vêtement koloru i laską niebieską.

Fig. 2. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Sukienka biała alpagowa; płaszczyk popielaty letni, z małą pelerynką, wypustkami pąsowemi i z guzikami z konchy perłowej. Kapelusik popielaty słomkowy, ubrany aksamitem i piórami czarnemi oraz nierozkwitłą pąsową różą.

Fig. 3. Ubranie spacerowe z dolmanem. Suknia z tuniką i kirasowym stanikiem, z letniej wełnianej tkaniny w guście knikerboker, przybrana jest falbanami i plisami z jedwabną wypustką. Dolman z czarnego wełnianego tiulu, naszyty pletnią czarną i oszyty frendzlą. Kapelusz czarny włosiany z czarnym woalikiem, ubrany koronką, pąsowym repsem i różami.

Przyjaciela Dzieci Nr 24 wyszedł z druku i zawiera:

Drzewa palmowe (z drzeworytem). — Święcenie Morza (z drzeworytem). Wyspa Tajemnicza przez Julijusza Werne (ciąg dalszy). — Żyjący Obraz komedyjka w jednym akcie. — Czyny nauczające. — Z wiadomości bieżących. — w Dodatku: Prawdziwe wypadki kapitana Korkorana.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Мая (6 Іюня) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.